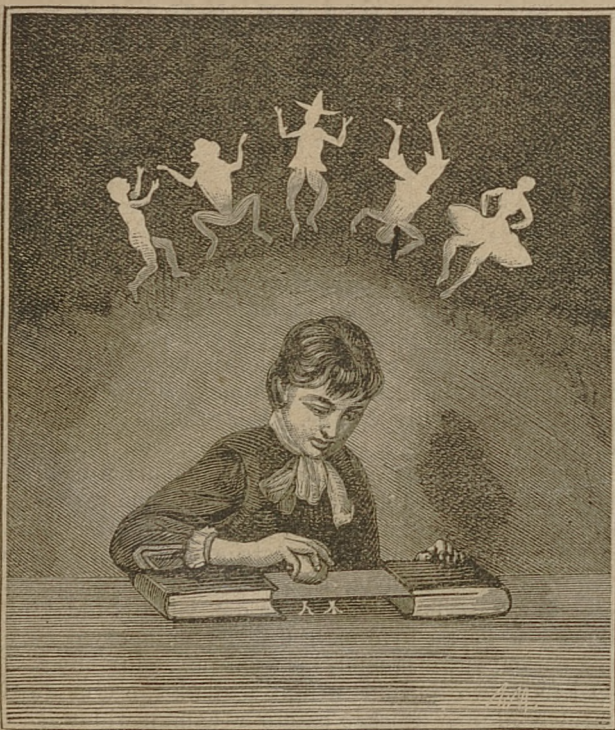




TYGODNIK ILLUSTROWANY DLA DZIECI.

PRENUMERATA WYNOŚI:

W WARSZAWIE rs. 4, na prowincyi w kraju i za granicą rs. 5 — stosownie do tej ceny półroczna i kwartalna.
 Biuro Redakcyi Mazowiecka Nr. 8.



ZABAWKA ELEKTRYCZNA.

Nie sądźcie, kochani czytelnicy, że was chcemy namawiać do kupienia kosztownej jakiejś zabawki; wcale nie, ten taniec pajacyków, przedstawiony na naszej rycinie, możecie sobie

sami urządzić w domu, nie wydając na to ani grosza. Musicie tylko dostać tafelkę szklaną niezbyt dużą, długości powinna mieć od 35 do 40 centymetrów, szerokości około 25. W każdym domu tłuką się przecież szyby od czasu do czasu, więc i o taką tafelkę nietrudno jest, ani w mieście, ani na wsi. Następnie weźmiecie dwie duże książki, oprawione roczniki „Wieczorów” wyborne będą do tego. Umieście brzegi tafli szklanej pomiędzy kartkami książek, jak to widzicie na rycinie. Potrzeba, ażeby pomiędzy tą taflą i blatem stołu był przedział trzech centymetrów mniej więcej. A teraz wynajdźcie sobie kawałek cieniuteńkiego papieru, jaki zwykle używa się do przykrywania rycin w książkach, i powycinajcie z niego małych pajacyków, według wzoru, umieszczonego na rysunku naszym u góry. Można dodać do tego i inne rozmaite figurki zwierzątek, ptaszków, wszystkie powinny mieć około dwóch centymetrów wysokości, można też użyć do tego papieru różnych kolorów.

Przestrzeń próżna pomiędzy szklaną tafelką i stołem jest salą balową, gdzie figurki te mają wyprawiać uciężne tańce. Gdy już wszystko jest w pogotowiu według opisu powyższego, możecie tancerzy wprowadzić do sali balowej, to jest poukładać figurki papierowe w pozycyi leżącej na stole, pod szklaną taflą. A teraz pozostaje już tylko wprowadzić je w ruch, do tego posłuży wam elektryczność, którą sami sobie wytworzycie, bez żadnych osobliwych przyrządów.

Weźcie kawałek tkaniny wełnianej, a lepiej jeszcze jedwabnej, zwińcie ją w kłębek i pocierajcie mocno szklaną tafelkę z wierzchu, jak to czyni panienka na rycinie. Szkło tym sposobem się naelektryzuje i obaczycie wkrótce zabawne widowi-

sko: tancerze papierowi zaczną się podnosić i różne harce wyprawiać, uderzając o sufit sali balowej i znów odskakując od niego, bo szkło naelektryzowane przyciąga je i odpycha kolejno.

Trzeba bardzo uważać, ażeby szklana tafla i tkanina, używana do pocierania, były doskonale osuszone, bo najmniejsza wilgoć przeszkadza wytworzeniu się elektryczności i przedstawienie się nie uda. Można też ogrzać trochę tkaninę, a jeszcze lepiej działać będzie.

Niejedna starsza siostrzyczka zechce zapewne urządzić podobną zabawę dla młodszego rodzeństwa i wdzięczną nam będzie za podanie tego dowcipnego pomysłu.

Listy starszej przyjaciółki do młodziej.

List VII.

O ubraniu.

Masz tedy, kochana moja Jadziu, pensyjkę wyznaczoną na swoje ubranie i drobne wydatki, nie zbyt kłopotliwą, ale dostateczną, zdaje mi się, do zaspokojenia potrzeb twoich w tym względzie. Idzie tylko o to, żeby sumką swoją stosownie rozporządzić i o to mnie się radzisz właśnie. To pewna, że wymagania toaletowe inne są na wsi a inne w mieście, więc nawet stosując się do mody (o której jakaś autorka francuzka powiedziała, że: „Jeśli śmiesznie jest iść za modą, to śmieszniej jeszcze odstępować od niej zupełnie”). Trzeba wybierać, co dla nas w danym położeniu dogodnym jest i właściwym. Kobieta z prawdziwym gustem, mająca upodobania estetyczne, potrafi z każdej mody wybrać to, co najładniejsze, bez przesady, i do twarzy jej być może.

Na to reguła stałych podać niepodobna; w ogóle zaleciłabym ci tylko, żebyś nie kupowała na raz kilku sukien, a sprawiając takowe, wybierała kolory nie jaskrawe i materye, któreby się nie przykrzyły, nie „opatrzyły” prędko, jak to mówią. Nóżka twoja niech będzie zawsze porządnie obuta, rękawiczka cała i starannie zapięta, kapelusik pozbawiony tych krzyzących ozdób, które czasami moda chwilowa narzuca zbyt gorliwym wielbicielkom swoim. We wszystkiem, nawet w ubraniu, panienska dbać powinna o pewien takt i wystrzegać się ślepego naśladownictwa dla tego tylko, że „inni tak robią”. Sukienka nie rażąca u Paryżanki, przejeżdżającej się po lasku Bulońskim i ładnie zdobiąca lalkę żurnalową, może być nie stosowną a nawet nieładną dla panienki, odbywającej wiejskie odwiedziny lub majówkę w gronku przyjaciół. W każdym razie lepiej przesadzić w prostocie niż w zbyt cennej elegancji ubrania; zawsze zaś unikać tych rozmaitych świecidełek, błyszczących złotem i niezłotem, które zamiast zdobić, nadają cechę bardzo pospolitą, ordynarną, że tak powiem, toalecie młodej panienki. W lecie kwiatek świeży, zimą gałązka lub gustowna jaka spinka pod szyją, ale jak najmniej tych brzęczących i ruszających się wieszadełek przy uszach, głowie, szyi i t. p.

Przedewszystkiem zaś, Jadziu moja, staraj się, żeby ubranie twoje nie tylko było „od gości” jak to mówią. Na wsi, w dzień powszedni, czy kto ma przyjechać, czy nie, niech sukienka twoja będzie gustowna, starannie ułożona, przyrobnie zasłonięta zgrabnym fartuszkim, ale taka, żebyś się jej wstydzić nie potrzebowała. Nie jest to żadnym zbytkiem ani marnotrawstwem; przeciwnie, częstokroć tak zwane „elegancki” olśniewające na balu lub na ulicy wytwornemi toaletami, na które też mnóstwo wydają, w domu za to rażą zaniedbaniami i nieporządkiem. Śmiać się może będziesz, gdy ci to powiem, ale mojem zdaniem w takich nawet drobnostkach dopatrzeć można mniej lub więcej pięknych stron charakteru. Osobie, która tylko „do gości” lub na ulicę się ubiera starannie, pomyślałabym, że i jej uśmiech, mowa, nawet myśli, jakie wyraża, mogą być także przybrane, fałszywe.

Tak samo jak w najściślejszym kółku domowem powinny być przestrzegane pewne formy grzeczności, dobrego wychowania, żeby potem nie były nam uciążliwe i niedogodne, jak owe niedzielne ubrania, w których właściciele czasem poruścić się nie umieją; tak samo i nasze wyglądanie zewnętrzne, nasz strój, niech zawsze będzie przyzwoity i wdzięczny. We wszystkiem, więc i w ubraniu być może pewna doza poezji: ubierać się starannie i do twarzy w życiu codziennem, tak, jak się swój pokój zdobi kwiatami lub książkę ładną oprawą, jednym słowem przez zamiłowanie piękna wkoło siebie — to poezya; stroić się tylko wyjątkowo, dla obcych ludzi, to próżność bezmyślna.

Zaopatrując się w rozmaite drobnostki, nie zapomnij także, Jadziu, żeby twój papier listowy, wizytowe bilety i t. p. nie przedstawiały nic rażącego. I w tém także poznać można dobre wychowanie młodej osoby; wrodzony gust twój powinien ci być przewodnikiem, zresztą moda i w tém się zmienia, dodam tylko, że wszelkie esy i floesy, kolorowe ozdoby na biletach, nie są przyjęte w dobrem towarzystwie; na papierach zaś uważać trzeba na winietki, które bywają niedorzeczne lub niestosowne do okoliczności. Po winietkach przypominam sobie zabawne wydarzenie, gdy w pewnym wiejskim domu (w głębokiej Litwie) używając starego porcelanowego serwisu z malowanymi owocami, niechcący umieszczono przed przybyłym z daleka (i w pewnych zamiarach, jak się okazało) kawalerem, talerz z zupą, na dnie którego ukazała się nagle figa misternie odmalowana. Młody człowiek tak się zmieształ, biorąc to za umyślną wskazówkę, iż zaraz po obiedzie chciał odjechać i ledwie w końcu rzecz się wyjaśniła ku ogólnej ucieście.

A teraz kończę skromny list mój bez żadnej winietki, dotąd bowiem, zdaje mi się, nie wymyślono żadnego emblematu czyli godła nudziarstwa, które przebac

twojej przyjaciółce

Maryi Świdorskiej.

KRÓLEWICZ-TUŁACZ

POWIEŚĆ Z XVI WIEKU

przez M... a.

(Dalszy ciąg).

— Wrzuc pomiędzy skały, w jedną z tych głębin bezdennych morskich, z których nic nie ukazuje się napowrót, wrzuc to, a spełnisz swoją przysięgę! — rzekł cicho i szybko, i rzucił się na swoje łożo, udając umierającego. Oskar wyszedł z zamku swobodnie, niosąc pakunek, w którym miał swe odzienie, jak sądziły strażę. Pod zasłoną ciemnej nocy, udał się chyżo w zaułki skaliste nad morzem, dostępne tylko rybakom. Tam stanąwszy, zdjął z ramienia worek, skazany na zagładę i już miał go wrzucić w bezdenne czeluście, gdy słaby jęk ozwał się z worka. Oskar zadrżał. Zapomniał o wszystkiem, nawet o posłuszeństwie swemu stronnictwu, do którego był obowiązany, i powodowany jedynie ludzkością, rozciął worek, będąc pewnym, że ów jęk był ludzkim. Nie mylił się, w worku było małe dziecko, chłopczyzna skrzepowany i z ustami zawiązanemi, na wpół już zaduszony:

Oskar łatwo poznał w nim małego Gustawa, syna Katarzyny Mans, którego często w zamku widywał. Teraz zrozumiał wszystko: stronnictwo, do którego on sam należał, przebierając miarę w zawziętości, chciało wytracić ród Erykowy do ostatniego z dzieci. Troje z tych dzieci już umarło, i sam król Jan, lękając się, aby podejrzenia nie padły na niego, otoczył dzieci brata najściślejszą strażą. Ale, jak to się często zdarza, stronnicy jego gorliwsi podobno byli od samego zwierzchnika swego, i mniej przebiegali w środkach: uciemiężeni postanowili wyniszczyć ród tyрана, aby już nie

mógł do władzy powrócić. Ale nie wszyscy oni jednakowego przecież byli ducha: Oskar cofnął się:

— O nie! — zawołał — zbrodnie tyrana Eryka nie upoważniają mnie, abym i ja był zbrodniarzem; a konający rodzice moi kazali mi przysięgać, iż walczyć będę za szczęście Szwecyi, ale nie kazali mi zbrodni popełniać!

Potém przyszło na myśl Oskarowi, że niepodobna lepij odwdziżyć się matce, jak ratując jój dziecko. Skrył się zatem wraz z maleńkim Gustawem w wiadome sobie kryjówce rybackie, odżywił go, a po jakimś czasie, gdy żwawy chłopak wrócił zupełnie do sił, Oskar wsiał z nim do łódki rybaka, płynącego koło wybrzeży, i następnie, przesiadając się z jednej do drugiej, dostał się aż do Norwegii. Tu wynalazłszy w głębi pustek skalistych nadbrzeżnych uczciwą a ubogą rodzinę rybacką, prosił jój, aby zatrzymała u siebie synka jego Gustawa, gdy on sam dalej popłynie. Jako wynagrodzenie, dał rybakom część swoich zasług, zarobionych na służbie w zamku Gripsholmskim, obiecał zapłacić drugie tyle za powrotem z podróży, i puścił się w głąb Norwegii, oddać niby pismo, które było pozorem jego wyprawy, dla Katarzyny Mans. Przybywszy z powrotem do Gripsholmskiego zamku, poszedł prosto do burgrabiego, prosząc znowu o przyjęcie na służbę:

— A widzisz — rzecze burgrabia — przekonałeś się zapewne, że wszędzie pracować trzeba, i nigdzie jeść darmo nie dostanie, a teraz do nas powracasz, gdy nigdzie równie dobrej służby nie znalazłeś. Dobrze, możesz zostać, ale nie odprawiaj się więcej, i pilnuj obowiązku, bo oto zaledwie ty się odprawiłeś, a nauczyciel ciężko zachorował, mnie jak na to do Stockholmu zawołano na parę godzin, a już nieszczęście stało się u nas: mały książę Gustaw znikł! Już tylko jedno dziecko króla Eryka, mała Zygfyda księżniczka, jest przy swojej matce. Strzeżny choć tego ostatniego Erykowego potomka, bo jakkolwiek ojciec ich tyran przelewał krew szwedzką, jak wodę, przecież król nasz Jan pragnie zachować przy życiu braterską rodzinę, aby świat nie sądził, że to on sam nastaje na jój życie.

Oskar przyrzekł wszystko, co chciano i został w zamku, a po jakimś czasie dostał się tajemnie do Katarzyny Mans. Kiedy wchodził do jój pokojów, uczuł, że wsunięto mu do ręki kartkę maleńką. Czekając aż wpuszczonym zostanie, zbliżył się do światła i przeczytał co następuje: „Sprawiłeś się dzielnie; uczyn z *tém*, co zostało, to samo, co uczyniłeś już z *tamtém*, a zasłużył sobie na wdzięczność rodaków”. Oskar podarł kartkę na najdrobniejsze cząstki i przez okno wyrzucił ją na cztery wiatry. Wtém zawołano go do pani Katarzyny. Erykowa żona siedziała na krześle, trzymając córeczkę na kolanach, była blada i wystraszona, jakby błędna, a z dzieckiem ostatniem nie rozstawała się wcale.

— Czy przyniosłeś mi pismo od przyjaciół moich? — szepem spytała Katarzyna.

— Nie — odrzekł Oskar tak samo. — Jam jest Oskar Sten, którym poprzysiągł wywdziżyć się tobie za współczucie twe dla jego brata, ale oddawać pisma od ciebie do twych przyjaciół, ukrytych w Norwegii, znaczyłoby to służyć twemu stronnictwu i Erykowi, a zdradzać moje i króla Jana, i moję pierwszą zdradzać przysięgę; zatem ogień zniszczył twe pismo. Lecz mimo to odwdziżyć się tobie, jako przysięgłem, bo syn twój Gustaw żyje! ocaliłem go!

Katarzyna upadła na kolana przed nieprzyjacielem szlachetnym. Pytała potém o szczegóły i Oskar opowiedział jej, lecz nie chciał wyznać, gdzie ukrył Gustawa.

— Nie mogę tego wydać — rzekł — gdyż byłoby to znowu zdradą względem naszej dobrej sprawy i króla Jana, bo twoi przyjaciele, dowiedziawszy się o *tém*, użyliby imienia dziecka przeciw jego stryjowi. Bądź zadowoloną *tém*, co sumienie nakazało mi uczynić, nie żądaj więcej.

Oskar chciał odchodzić, Katarzyna szybko otarła łzy.

— Stój! — rzekła — przed chwilą nie wierzyłam, aby był jeszcze w nieszczęśliwej Szwecyi człowiek sprawiedliwy. Kto nie umie zdradzać jednej sprawy, nie zdradzi żadnej; uczyniże jeszcze dla mego ostatniego dziecka, co dla Gustawa

uczyniłeś, a błogosławieństwo matki nieszczęśliwej będzie nad tobą! Ocal mi Zygfydę.

— Wszak masz ją przy sobie? — rzecze Oskar.

— Tak, mam w *tój* chwili — odpowie Katarzyna — ale następna chwila już mię pozbawić jój może. Znam ja stronników zbyt gorliwych i służalców zbyt skorych. Wiedziała Katarzyna Jagiellonka, królowa Szwedzka dzisiejsza, czemu posyłała ze swego stołu potrawy dzieciom moim i mnie, dopóki pozostawaliśmy w Stockholmie; to też gdy tu nas przewieziono dla większego bezpieczeństwa, to zaraz i zmarło troje moich dzieci. Strzegłam, a nie ustrzegłam, i tego ostatniego nie ustrzegę, ratuj je!

— Słuchaj, Erykowa żono! — rzekł Oskar ponuro — napisano jest, że Bóg poszukuje win ojców na dzieciach aż do czwartego pokolenia, jakoż ty chcesz abym twoim przebaczył? Czy nie wiesz, ile wycierpieliśmy przez Eryka, ich ojca? ile krwi on rozlał?

— Tak! — odrzekła — a więc gdy Bóg ma sądzić, niech ludzie nie sądzą; ocal drugie dziecko moje, jakoś jedno ocali! Jeżeli sprawa wasza dobrą jest, nie daj jój kazić krwi dziecka zagorzałcom!

Matczyne serce Katarzyny umiało przemawiać; ostatnie jój słowa przekonały Stena, zapytał, co ma czynić.

— Przed niezbyt dawnym czasem — odrzekła — gdy Jagiellonka była tu, gdzie ja dziś jestem i oplakiwała śmierć córeczki swj Izabelli, tak właśnie, jak ja moje dzieci oplakuję, byłam wtedy tam, gdzie ona jest dzisiaj, na tronie Szwecyi i właśnie miała się odbywać moja koronacja. Natenczas ja, dowiedziawszy się, że nakazano Janowi księciu z żoną i synem Zygmuntkiem przybyć na koronacją moję po to, abyście postradali, posłałam sama zanieść *tę* wiadomość starj królowj Katarzynie, macosze Eryka i Jana, aby Jagiellonkę ostrzegła, by chociaż Zygmuntką uratowano, wywołując go do Polski. Przemennie wtedy ocalało i dziecko i rodzice, a Jagiellonka nie zapomniała mi tego nigdy: idź, proś w mojem imieniu matki Zygmunta, aby uratowała moję Zygfydę, bo dziewczątko to jest i niewieścięj potrzebuje opieki.

XI.

Karliczka.

Z Gripsholmu zaufani słudzy co kilka dni udawali się łodzią do Stockholmu po zapasy żywności. Gdy Oskar został wysłany wraz z innymi, po zapakowaniu żywności pozostał jeden ze sług dla jój pilnowania, a inni poszli zabawić się lub załatwić sprawy swe w mieście, jak to za każdym razem bywało. Oskar natenczas poszedł do kościoła w pobliżu zamku, wiedząc dobrze, iż bywały w tym kościele panny dworskie królowj Szwedzkiej Jagiellonki. Panny już się modliły, gdy wszedł Oskar i stanawszy na uboczu, modlił się także, ale raz po raz spoglądał przytém na malutką osobkę, zajmującą poczesne miejsce między pannami. Było to stworzenie pięknie ubrane, jak dorosła pani, ale tak małe, jak dziecina, gdy tymczasem twarz drobna i dość miła wskazywała jednak wyraźnie wiek dojrzały. Cały Stockholm znał *tę* osobę, nazwiskiem Dorotę Ostalską, najzaufańszą karliczkę królowj Jagiellonki, z którą przybyła z Polski i wszystkie biedy, i ciężkie więzienia, i głody przecierpiawszy, teraz u stopni jój tronu stanęła, jako wierna sługa. Oskar tak uporczywie wpatrywał się w Dorotę, że musiał *tém* zwrócić jój uwagę. To też gdy przy wyjściu z kościoła ujrzała go znowu na swj drodze, Ostalska, zarówno rezolutna jak mała, zaledwo próg kościelny przestąpiwszy, rzekła żwawo, patrząc Oskarowi prosto w oczy, to jest tak, jakby na kościelną wieżę patrzyła:

— A i coż to waszmość patrzysz na mnie, jak na raroga? czyli rogi na głowie mi urosły? albolli może co dziwnego jestem?

— Patrę — odparł Oskar, kłaniając się z uszanowaniem maleństwu — patrę i podziwiam *tę*, która ocaliła Szwecyę, zatrzymawszy krwiożerczego tyra na poza kratami, gdy je przełamać podążał.

Słonie rozjuszone.

Słonie są to zwierzęta łagodne z natury, nie należy ich jednak drażnić, gdyż wówczas wpadają w złość straszliwą i mogą się stać niebezpieczne. Rysunek nasz przedstawia przygodę kilku ludzi, napadniętych przez takie rozjuszone słonie; jak widzicie, musieli się schronić na drzewo, wybrawszy gruby i mocny pień; silne zwierzęta mogłyby bowiem mniejsze drzewo wyrwać z korzeniem i obalić, a wówczas stratowałyby tych nieszczęśliwych potężnymi swoimi stopami w przeciągu jednej chwili.

STARY KRAMARZ.

Chodzi kramarz po świecie,
A choć kram ma nieduży,
Jednak wszystkiem, czém chcecie,
On każdemu usłuży.

Co chce, każdy dostanie,
Lecz postawić ma skromnie
Jedno tylko żądanie,
I pożądać niezłomnie.

Więc nauki kto chciwy,
A pożąda jęj silnie,
Kramarz da mu z jęj niwy
Ziarnka, by je siał pilnie.

Kto o ludzką szczęśliwość
Pyta tego kramarza,
On mu kwiatek, cierpliwość,
Poda z cnoty ołtarza.

Gdy kto żądać majątku
Od kramarza znów będzie,
Warsztat - pracę da w kątku
I oszczędność - narzędzie.

Nawet recept na zdrowie
I przeciwko chorobie
Kramarz da wam w tém słowie:
„Nie szkodź drugim i sobie“,

Tak towaru bez liku
Ma tu ludzkość szczęśliwa
U kramarza w kramiku:
Kramarz *Los* się nazywa.

M—a.

ZBÓJCY.

OBRAZEK DRAMATYCZNY

przez *M...a.*

(Dokończenie).

JÓZIA (wchodząc).

Mama istotnie śpi, a to licho znów poleciało...

ANECZKA.

A powiadała mi, żeś jęj pozwoliła.

JÓZIA.

Tak, jak nie pozwolić, to bez pozwolenia pójdzie.

ANECZKA.

Oczywiście, innęj niema rady, tylko znosić to trzeba, do póki ojciec nie wróci, a wtedy ją oddali.

ANECZKA.

Coś się tak zciemnia, ach, jaki deszcz! czy kto jedzie.

JÓZIA.

Może będzie burza!... ach, to grzmi.

JAGUSIA (we drzwiach).

Proszę panienek! ja jeszcze nie poszłam, bo tu jakiś stary

pan wedle burzy do sieni się schronił i o gościnę prosi, a konie już w szopie, a teraz już idę. (niknie).

ANECZKA.

Co? co ona trzepie? jakiś pan?

JÓZIA.

Podróżny, w sieni!... stary! (słychać stukanie). Co to jest?

ANECZKA.

Mama się budzi!

(biegnie do drzwi, w których ukazuje się staruszek, stukający kijem, jak ludzie, którzy mało widzą, na głowie ma fez, w ręce czapkę, daszek nad oczami, jak zwykle chorzy na oczy, małą siwą brodę i takież wąsy duże, paltot podróżny, okulary ciemne).

PODRÓŻNY (drżącym ze starości głosem).

Przewiewna sieć, przeciągi, przepraszam, najmocniej przepraszam, mało co widzę, przeciągi mi ciężko szkodzą, państwo łaskawi nie pozwoliliby choremu podróżnemu spo-



Słonie rozjuszone.

cząć gdzie w kącie, póki burza nie przejdzie, byle przeciągów nie było... (wchodzi i drzwi zamyka za sobą).

ANECZKA (zmieszana).

Owszem, prosimy, bardzo prosimy... tu niema przeciągów. (prowadzi go do krzesła, które Józia stawia). Co to? czy kto jedzie?

PODRÓŻNY.

Oj, nie tak blisko okna! oj, przepraszam. To moja bryka.

JÓZIA.

A więc tu... (stawia krzesło w kącie).

PODRÓŻNY.

Stokrotnie dziękuję. Ja tu do owczarza dążę o poradę, resztą sił wlokę się do tego...

ANECZKA.

Do Rafała? to w drugiej wsi (n. s.). Gdzie ja widziałam tego człowieka?

PODRÓŻNY.

Do Rafała jakiegoś, aha, słyszę o nim cuda, a ile w tém prawdy... nie wiecie państwo?

ANECZKA.

Różnie różni mówią, (ciszej) Józiu, co tobie? blada jesteś, jak płótno... (głośniej). Ale nie wiadomo, ile w tém prawdy. (n. s.). To jakieś przebranie, strach mię ogarnia...



Stary kramarz.

JÓZIA (wspierając się o sprzęty, pocichu).

W tém coś jest, ja tego człowieka już kiedyś widziałam.

PODRÓŻNY.

To też to! a tu resztę sił ryzykuje się na podróż.

ANECZKA.

Józiu, idźno do mamy! (ciszej) Idź natychmiast, nim upadniesz!

JÓZIA (cicho).

Nie odejdę ciebie! Jesteśmy same, parobków w domu niema.

PODRÓŻNY.

A tu jakby sprzysięgło się wszystko na chorego, wybucha burza! chę, chę, (kaszle).

ANECZKA (ciszej).

Nie bądź dziecinna, przecież sługi są!

JÓZIA.

Tak, w kurnikach i stodołach, jak to one. (słychać dzwonek).

ANECZKA.

Mama dzwoni! idź prędko!

JÓZIA.

O Boże (wybiega chwytając się sprzętów).

ANECZKA (uchylając drzwi woła).

Janie! jesteś przecież, powiedz Antoniemu, żeby konie podróżne zaprowadził do szopki, a Stach niech mi coprędzej zobaczy, czy tam w kuchni komin zatkany. Czy Józef jestw kancelaryi?

PODRÓŻNY (kasząc).

Nie, nie, niech pani próżno nie woła, nikogo niema w domu prócz dwóch dziewczek, bo się podobno pochorowali parochy, dziewczka jakaś to mówiła mojemu woźnicy, ale już mu pokazała, gdzie konie postawić.

ANECZKA (pocierając czoło nieznacznie).

Może pan, jako chory, pozwoli sobie słuzić kawą, bo właśnie mam gorącą w piecyku? (n. s.). Wie, że jesteśmy same.

PODRÓŻNY.

Stokrotne dzięki, ja nic jeść nie mogę, parę łyżek rosółu już dziś przełknąłem, więc zrujnowane zdrowie nie zniesie, a sił co dnia mniej a mniej, bo zkąd mają się brać na takie żywienie! chę! chę!... (kaszle).

JÓZIA (wbiegając żywo).

Aneczko, mama cię woła.

ANECZKA.

Co to! czy gorzej? (n. s.) Cóż to Józia taka wesola? może ojciec przyjechał?... (wybiega).

JÓZIA.

Nic, nic! Pan dobrodziej się czém posilić pozwoli? może kieliszek wina?

PODRÓŻNY.

Oj nie, nie, dziękuję łaskawej pani, zdrowie zrujnowane nie pozwala. Ja tylko tak ot w kącie posiedzę, póki ta burza nie przejdzie. Oj, żebym się tylko dowlec mógł raz do tego przesławionego Rafała! A czy to on mi co pomoże jeszcze? Starość nie radość! chę, chę...

ANECZKA (wbiegając).

A może się pan położy tam na sofie, i zdrzemnie? Wiek ma sweje prawa, a choroba témbardziej? Co to jest? (słychać przeciągłe kilkakrotne gwizdnięcia).

JÓZIA.

Co to? (n. s.) O! jak się Aneczka uspokoiła, a udaje, że się boi!

(Podróżny wstaje, przykładając palec do ust i wy-daje takie samo przeciągłe gwizdnięcia).

PANIENKI.

A to co? (odskakują w najdalszy kąt, tuląc się do siebie, z oznakami wielkiego przestachu).

PODRÓŻNY (silnym głosem).

Odpoczywać? niema czasu! (krzyczy). Jesteście, chłopcy? Tutaj! do mnie!

(Gwizdże jeszcze raz, a na to hasło wpada jeden rozbójnik zamaszkowany drzwiami od ogrodu, drugi drugiem).

JÓZIA.

Drzwi otwarte!

ROZBÓJNICY.

Jesteśmy! dwie dziewczyny sługi już powiązane, zresztą nikogo w całym dworcu, prócz chorej kobiety! śliczna gratka! panie herszcie! masz ty rozum!

PANIENKI (krzycząc).

Ratujcie! ratujcie, ludzie!

PODRÓŻNY (z wielkim nożem przystępując do dziewcząt).
Pieniądze, albo życie! musicie wiedzieć, dzierlatki, gdzie
was staruszkowie chowają pieniądze; dalej, prędko dawajcie,
albo kamień na kamieniu z dworca nie zostanie!

PANIENKI.

Ratujcie! my nie wiemy o żadnych pieniądzech.

HERSZT.

Żywy duch krzyku nie usłyszeli! prędjéj! bo rąbnę!

PANIENKI.

Zlitujcie się, ludzie! my nie mamy pieniędzy!

HERSZT.

Chłopcy! jest was tam więcej? rozbijać siekierami, a brać
co można, nim ja tu skończę.

PANIENKI.

Ach! (upadają na ziemię tuląc się do siebie w kącie).

GŁOSY (z za drzwi).

Jesteśmy! (dwóch zbójców wpada).

PODRÓŻNY.

A to co? (cofa się ze swoimi).

Nowy ZBÓJCA (chwytając go za kark).

Patrzcie go! a tuś mi, Jaśku! to ty na swoją rękę myślisz
interesa prowadzić, zapomniałeś, że to ja jestem herszt, a ty
mój czeladnik? dam ja tobie, nauczę ja ciebie po kościele
gwizdać! Związać, chłopcy, tego łotra! Jam wasz herszt!

PODRÓŻNY.

Wielmożny panie herszcie! wielmożny! (trzęsąc się w prze-
rażeniu, szarpie się z hersztem, klęka przed nim, składa ręce
i znowu wstaje, błagając). Wielmożny panie, ja nie jestem
Jasiek żaden, ja nie twój czeladnik! ja... ja...

HERSZT.

Co? oszalał ze strachu! związać go! to tchórz!
(Podróżny, wrywając się zbójcom, ucieka po pokoju, goniony
i chwytny, z krzykiem).

PODRÓŻNY.

Ratujcie! ludzie! ratujcie! Panie herszt! panie herszt,
pan się mylisz, ja nie żaden zbójca, nie mam tego honoru,
słowo honoru, ja jestem Antoni Warski, ze wsi tu obok i syn
właścicielki Warki! Czego panowie chcecie odemnie? Ja
tylko chciałem nastraszyć moje kuzynki i zbójcę udawałem,
a ci ludzie, to nie z panów towarzystwa, to jest Jagusia, służąca
tutejsza, a to jest mój stajenny Wawrek. A pokażcież się,
czyście poszaleli! Jagusia! Wawrek! zdejmcie maski!
(krzycząc tak i uciekając, Antos zrywa z siebie i ciska całe swoje
przebranie i pozostaje w zwyczajnym odzieniu, zbójcy gonią go,
jak zajęcia, krzycząc „Haż go ha!“). Jagus i Wawrek zrzucają
także przebrania w kącie. Jegus na swoim ubraniu potrzebuje
tylko mieć lada kapotę męzką i czapkę prócz maski, a inni, tylko
maski, choćby z ciemnego papieru).

HERSZT (przystając ścigać Antosia).

Co, a więc to na prawdę nie nasz Jasiek, tylko obcy jakiś
łotr? a no, to związać go, i tamtych dwoje, a dwór oskubać,
dalej, i w nogi! A to dziwny wypadek, że on tu nas udawał,
gdy myśmy mieli przyjść na prawdę! ha! ha!

ZBÓJCA.

Ha ha ha! A z temi dziewczynkami co robić?

HERSZT.

O! byłbym o nich zapomnieli; związać, usta zatkać i na
wóz... weźmiemy je z sobą, stary tatuś drogo wykupi!

ANTOŚ.

Co... moje siostry porwać chcecie? chyba po moim tru-
pie! precz! zbójcy!

(zaskakuje ze stołu, gdzie się schronił, chwyta kij i zasłoniwszy
sobą dziewczynki skulone, wymachuje kijem i nożem w drugiej
ręce; zbójcy na ten jego ruch niespodziany odskakują).

ANTOŚ (walcząc krzycząc).

Jagus! Wawrek! czyście poszaleli! drzwi otwarte, pędź-
cie na wieś, a krzycicie o pomoc! krzycicie co siły, może ja
tu dotrzymam, nim kto nadejdzie! Czemu nie idziecie?

(Jagus i Wawrek odwracają się, śmiejąc skrycie. Herszt powoli
odejmuje maskę i jego zbójca także, panienki powstają za Anto-

siem, śmiejąc się cicho, jedna głaszcze go po czuprynie, druga tar-
ga za ucho. Antos patrzy po wszystkich, nie rozumiejąc, co się
dzieje).

HERSZT.

Wiesz co, chłopcze, gdyby nie ta twoja ostatnia zmiana
frontu, gdybyś nie poczuł w piersiach serca i nie ujął się za
mojemi córkami, to słowo daję, że teraz ukarałbym cię po
ojcowsku, ale więcej nie chciałem cię znać w życiu, bo ta
swawola, na jaką dziś się odważyłeś, podmawiając do tego
i przekupując koralami sługi, mogła była kosztować życie
dziewcząt moich, albo ich matki!

ANTOŚ.

Wuj... wuj... mój wuju, przebacz mi, ja doprawdy chy-
ba zmąsły postradałem, gdy to robiłem...

WUJ.

To całe szczęście, że Jagusia cię oszukała i przyrzekłszy
ci, że nie powie nic przed moimi córkami, umiała obejść
przyrzeczenie i ostrzegła moją żonę, a ta w czas jeszcze zdo-
łała córki zawołać do siebie i uwiadomić je o twój bezrozu-
mnej swawoli. Ale że i ja przyjechałem w czas, to już zrzą-
dzenie Opatrzności, bo słowo ci daję, że ten postępek musi
być ostatnim z twoich figłów, a mogłoby być daleko gorzej,
gdybyś mię nie rozbroił w końcu...

ANTOŚ.

Mój kochany wuju, przebacz... a ja daję ci słowo, że to
ostatni raz!

WUJ (do swego towarzysza)

Janie, i ty Wawrek, słuchajcie przyrzeczenia panicza,
a gdyby kiedykolwiek miał je złamać, przypomnijcie mu, że
się sam poniża, a więc nie wart jest szacunku.

PANIENKI.

Chodźmy do mamy, ojezulku, bo może niespokojna! (wybie-
gają).

WUJ (do sług).

A wy do koni, chłopcy, trzeba pakunki poznosić.
(Kurtyna zapada).

GRZEŚ.

W pewnej wiosce na Podlasiu mieszkał zamożny gospodarz,
imieniem Grześ. We wszystkiém dobrze mu się powo-
dziło i możnaby go było uważać za bardzo szczęśliwego czło-
wieka, gdyby nie to, iż wiele miał przykrości ze strony swego
najbliższego sąsiada, gospodarza Macieja.

Grześ był łagodny, uczynny, dobry, a pomimo tego Maciej
ustawicznie prowadził z nim zwadę i nie było dnia, żeby go
nie obrzucał żelzywemi obelgami i wymysłami. Grześ o ile
możności unikał spotkania się z tym zawadyką i albo uda-
wał, że nie słyszy jego zaczepki, albo też czempredzój od nie-
go odchodził, nic mu nie odpowiadając.

Może myślicie, że tym sposobem rozbroił gniew Macieja?
— bynajmniej, bo kłótnicy najbardziej się wtedy gniewają,
kiedy się na ich zaczepkę nie odpowiada. Tak się stało
i z Maciejem; im bardziej łagodny Grześ unikał sprzeczeki,
tymbardziej Maciej złościł się na niego.

Napróżno Grześ chciał się z nim pogodzić, napróżno po-
syłał do niego kumów, aby go namówić do pojednania. Ma-
ciej, czując w swój duszy, iż Grześ lepszym jest niż on, wsty-
dził się samego siebie, a nie chcąc się do tego przyznać, był
zawziętym i upartym i bardziej jeszcze niż poprzednio czynił
wszystko na przekór swemu sąsiadowi.

Wreszcie do tego stopnia dokuczył Grzesiowi, że ten po-
stanowił już sprzedać swą siedzibę i przenieść się do innej wsi.

Wtém nadarzyła mu się sposobność przejednania swego
nieprzyjaciela.

Było to w czasie sianozęcia. Maciej, skosiwszy swą łąkę,
porozrzucił siano, aby wysechło, a sam wyjechał do Łukowa.
Tymczasem w parę dni zaczęły się zbierać na niebie wielkie

czarne chmury, zwiastujące burzę. Grześ widząc, że Maciej może utracić całe swoje siano, zaprzął duży wóz i wzięwszy ze sobą parobka, pojechał na łąkę Macieja i zdążył jeszcze w samą porę zwieźć siano do jego stodoły.

Maciej przemokły do nitki powracał z Łukowa bardzo strapiony, bo był pewny, że cały jego zbiór siana zmarnieje i nie będzie miał czem przekarmić dobytku swego przez zimę. Jakżeż się więc uradował, kiedy przybywszy do domu zastał swe siano zupełnie suche, zwiezione do stodoły. Ale bardzo się zawstydził, skoro się dowiedział, że to Grześ z biedy go wybawił i za złe dobrem mu odplacił. Przecież był tyle rozsądnym, że zaraz udał się do jego chaty i z uśmiechem podał mu rękę do zgody. Nie prosił go wprawdzie o przebaczenie, ale przestał mu dokuczać i został prawdziwym jego przyjacielem.

Henryk Wernic.

WYPRAWA PO ZŁOTE RUNO.

PRZYGODY WĘDROWCÓW W AMERYCE.

(Dalszy ciąg).

Tu roślinność bogactwem swém przypominała strefy zwrotnikowe, na łąkach, wśród bujnej trawy jaśniało wszędzie mnóstwo różnobarwnych kwiatów, a kępy drzew, często napotykane po drodze, składały się z okazałych sykomorów, o pniach gładkich, z drzew hebanowych, drobném liściem pokrytych i bobrowników czyli magnolij, których liście lśniące mają piękną barwę szmaragdu. Gromadki ptaków z rodzaju sójek, o piórach upstrzonych czarno i biało, jakby płateczkami śniegu osypane, leciały przed nimi i zdawały się drogę im wskazywać. A wtém, na znak Pawła, wszyscy zatrzymali się nagle; na lewo, w niezbyt znaczném oddaleniu, ujrano kłęb dymu, unoszący się z ogniska. Po krótkiej naradzie, wędrowcy chcieli się zwrócić śpiesznie w przeciwną stronę, mieli nadzieję ukryć się w gąszczach leśnych, lecz nie mieli na to czasu, w oddali ukazał się Indyanin, widział ich niewątpliwie i dawał znaki, iż w pokojowych zamiarach przybywa. Misyonarz podszedł na jego spotkanie, towarzyszył mu Wampa. Po stroju poznano odrazu, że zbliżający się Indyanin należał do plemienia Czaktasów, miał on na plecach kilka skór zwierzęcych.

W czasie odkrycia Ameryki, Czoktasi czyli Czaktasi byli narodem bardzo licznym, zamieszkiwali rozległe przestrzenie na wybrzeżach rzek Missisipi i Alabama. Wyparci przez osadników europejskich, cofnęli się w okolice, które przerzynają rzeka Czerwona i Kanadyjska, i dziś zajmują się po trochę rolnictwem. Plemię to odznaczało się zawsze łagodnością i uczciwością, co jednak nie ochroniło go wcale od przesładowania ze strony chciwych białych najezdców. Karol niemałego doznał rozczarowania, gdy mu Tomasz powiedział, że skóry, które Indyanin dźwiżył na plecach, nie były wcale jego strojem, lecz towarem, niesionym na sprzedaż.

— Wartoż to było — mówił pogardliwie — jechać za morze, do krajów nieznanych, do ojczyzny dzikich ludzi, ażeby się spotkać oko w oko z handlarzem skórek baranich.

— Mylisz się jednak, mój Karolu — rzekł śmiejąc się Paweł — bo to wcale nie są skórki baranie, lecz niedźwiedzie, tygrysie i bobrowe.

— Dobrze i to wiedzieć, może tu przynajmniej pokaże się gdzie tygrys, lub gromadka bobrów, radbym się z nimi zapoznać tak, jak z owym mysiem.

— Poczekaj, poczekaj, jeszcze nas czeka nie jedno spotkanie, może nie wszystkim rad będziesz.

Chociaż Czoktas dał przykład ufności, zbliżając się sam jeden do wędrowców, nie bardzo mu jednak dowierzano i starano się trzymać go z daleka, aby nie obaczył mułów oblado-

wanych i nie złakomił się na nie; mógł on w każdej chwili spowadzić na pomoc towarzyszy. Indyanin zadziwił się, że biali ludzie nie chcieli kupić jego skór, gdyż osadnicy nieźmiernie są chciwi na ten towar; na żądanie wędrowców wskazał im chętnie drogę najkrótszą do rzeki Kanadyjskiej, i udzielił różnych objaśnień.

— Ależ on wcale na dzikiego nie wygląda, ten dziki człowiek — rzekł Karol, gdy gromadka puściła się w dalszą drogę.

— Czoktasi od dwustu lat żyją w sąsiedztwie Europejczyków i nieustannie z nimi mają stosunki — odpowiedział misyonarz — a jednak i oni także, jak wszyscy krajowcy, zachowali strój swój i obyczaje. Odpierają oni wszelkimi sposobami cywilizacją, lecz muszą przed nią ustępować. Osadnicy rzadko kiedy walczą z nimi, lecz wkraczają w ich siedliska i zmuszają do cofania się w głąb puszczy, a wyniszczają równie skutecznie, jak kulami i prochem, dostarczaniem najstraszniejszej trucizny, „wody ognistej” *). Jeśli tak dalej pójdzie — mówił z westchnieniem ojciec Anzelm — za sto lat najdalej ludność ta zniknie całkowicie z widowni świata.

— Szczególna to rzecz jednak — rzekł Karol — że ci biedni ludziska nie mogą wyjść ze swego stanu dzikości. A jednak mieli dość czasu na to, ileż to lat minęło od chwili, gdy Kolumb tę ziemię odkrył.

— Nie wyobrażaj sobie, Karolu, ażeby za czasów Kolumba wszyscy krajowcy amerykańscy pogrążeni byli w barbarzyństwie. Tylko mieszkańcy północnej części lądu i wówczas tak samo, jak dzisiaj, wiedli życie koczujące, nie znali rolnictwa i tylko myślistwem się trudnili. Lecz w Ameryce południowej przebywały ludy, posiadające wysoki stopień cywilizacji. Do takich między innymi należało plemię Maja, zamieszkujące półwysep Yukatan, plemiona Tolteków, Alkoluasów i Azteków, które kolejno panowały w Meksyku, plemię Inkasów w Peru. Były to wszystko narody potężne, posiadały miasta pięknie zabudowane, rządziły się mądrymi prawami, nawet pismo znaly. Dziś wszystkich krajowców, rozsianych na tym ogromnym lądzie, na północy i południu, przezwano ogólnem mianem Indyan, co w błąd wprowadza niejednego, możnaby sądzić bowiem, że cały ten niezmierny obszar ziemi zaludniony był przez naród jednakowego pochodzenia. Tymczasem liczne te plemiona, zarówno północne jak południowe, różnią się pomiędzy sobą tak samo, jak naprzykład w Europie Lapończycy, Turcy, Anglicy i Hiszpanie. Wszyscy wprawdzie zowią się ogólnie Europejczykami, możnaby więc Majasów, Huronów, Komanczów, mienić Amerykanami, ale ta dziwna nazwa Indyan, której nigdy nie było w żadnym z ich narzeczy i która powstała z fałszywego mniemania, że Ameryka jest przedłużeniem Indyj, zupełnie jest dla nich niestosowną.

Wędrowcy wchodzili właśnie do małego lasku, gdzie wędług wskazówek Czoktasa mieli napotkać strumień. Tomasz postępował naprzód, a Karol, który miał ochotę wytropić jakąś zwierzynę na śniadanie, przyśpieszył kroku, aby dogonić przyjaciela. Lasek nie był zbyt gęsty, w chwili gdy dwaj myśliwcy wchodzili w przestrzeń najbardziej rozrzedzoną, Karol dostrzegł pożądaną zwierzynę, przelatującą ponad głową jego z drzewa na drzewo.

— Szczególnie jakieś ptactwo — szepnął cichuteńko — lata bez najmuniejszego szelestu, jakby nie poruszało skrzydłami. Jak się te ptaki nazywają, mój Tomasz?

Kanadyjczyk spojrział tylko z pod oka na towarzysza i zaśmiał się tym cichym, odrębnym swoim śmiechem.

— Ta odpowiedź — rzekł Paryżanin — ma znaczyć zapewne, że głupstwo jakieś palnąłem. Przecież ich nie nazwałem, więc nie masz potrzeby sztydzić, a czy cietrzewie, czy bazynty, czy wreszcie wrony, zawsze to ptaki być muszą, skoro latają.

Lecz Tomasz i teraz nie wyrzekł ani słowa, tylko pochwycił go za ramię i wskazał mu zwierzątko kasztanowate, do wiewiórki podobne, siedzące na pobliskim drzewie. Potem

*) Wodą ognistą nazywają dzicy ludzie upajające napoje.

dał mu do zrozumienia na migi, aby stał spokojnie i milczał, sam zaś podszedł bliżej do drzewa. Wiewiórka widziała go doskonale i szybko przebiegła na sam koniec gałęzi, na której siedziała, tu wyciągnęła się nagle i dała potężnego susa, uniosła się zupełnie jak ptak w powietrzu i przeleciała na inne drzewo. Lecz w tej samej chwili, gdy gałąź chwyciła łapkami, ozwał się strzał i zwierzątko spadło na ziemię. Karol podbiegł i podniósł je, a wówczas obaczył, że nogi przednie osobiwszej tej wiewiórki złęczone były z tylnymi obszernymi fałdem skóry, co nakształt spadochronu podtrzymywało ją na krótko w powietrzu.

— No, no — rzekł kręcąc głową — gdybyś mi był tak na niewidziane powiedział, że w Ameryce wiewiórki latają, jak ptaki, byłbym to wziął za drwiny. A teraz widzę, jaka to dobra jest ta twoja zasada: za nic nie ręczyć i niczemu nie zaprzeczać, czego się na własne oczy nie widziało.

Wiewiórka latająca, czyli polatucha, *pteromys volans* w terminologii naukowej, żyje na północy, i w Ameryce i w Azji, dawniej nawet w lasach litewskich była pospolitą. Nie jest to zbyt wyszukana zwierzyna i Tomasz nie poprzestał na niej, wkrótce też udało mu się zastrzelić pysznego indyka dzikiego, miał więc dostateczny zapas na śniadanie. Myśliwi doszli wreszcie do strumienia, o którym wspominał Czotkas, tu się zatrzymali, czekając na resztę gromadki, która też nadciągnęła niezadługo. Zdjęto ładunek z mułów i puszczono je na paszę, a Nilka chciała się zabierać do rozpalenia ogniska; już po drodze uzbierała zawczasu pęk suchych gałęzi.

— Niechże się panienka nie truzdi — zawołał grzeczny Karol — ja to zaraz sam zrobię.

Nilka wzięła zwierzynę do ręki i chciała ją oporzadzać, lecz nadbiegł Tomasz i nie dopuścił do tego, biorąc tę robotę na siebie. Dziewczyna spojrzała na jednego i drugiego z miłą zdziwioną i obrażoną, potem rzekła z dumą:

— Jestem córką wielkiego wodza i umiem wszystko, co powinna umieć kobieta.

— Nie wątpię o tém, moja Nilko — odparł Tomasz — ale nie chcę, ażebyś się truzdiła.

Młoda Indyanka zdawała się niedowierzać, spoglądała to na Tomasz, to na Karola, nie mogła widać zrozumieć tych dziwnych mężczyzn, którzy sami pracowali, a kobiecie kazali odpoczywać, w końcu jednak odeszła na stronę i usiadła pod drzewem.

(d. c. n.)

Łamigłówa kropkowana.

(Zuzulka z nad Tykicza).

P w z . w
I z k l . . . o
S z . g
P k ś

W s l . . . k
N m . . . w
T . . b t . . j
T . . m . a w l c

Łamigłówa zgłoskowa.

(Dla Kazia od Słowika).

Z następujących zgłosek: an—bis—ca—czyc—cka—dyk—i—in—ka—ki—ki—kru—rak—sro—stor— ułożyć: Ptaki drapieżne. 2. Zwierzątko. 3. Autor, który pisał dużo dla młodzieży. 4. Ptaki krajowe. 5. Ptak zamorski. 6. Rzeczy służące do zabawy. 7. Imię mitologiczne dla psów używane. 8. Ptak domowy. Pierwsze litery, od góry do dołu i ostatnie od dołu do góry, utworzą nazwisko poety polskiego z XVIII wieku.

Łamigłówa głoskowa.

(Jaskółka z nad Wisły dla Niusi Szcz, w Warszawie).

Jadwiga — Natalia — Helena — Wanda — Władysław — Ludwik — Regina — Leonia — Ernest — Zofia. Z każdego z tych imion wybrać jedną głoskę, aby utworzyć imię i nazwisko słynnego historyka polskiego.

ROZWIĄZANIA DO N-ru 8-go.

Szarady:

Ser .— we — ty.

Łamigłówa gwiazdki:

Aloes — Złoto — Sroka — Głowa.

Łamigłówa kryształowej:

				K					
				L	A	S			
			M	A	Z	U	R		
	K	A	P	I	T	A	N		
K	A	Z	I	M	I	E	R	Z	
	K	A	L	I	N	K	A		
		M	I	E	C	H			
			K	R	A				
				Z					

SPROSTOWANIE.

W N-rze 3-cim Wieczorów Rodzinnych podany był widok Rejowa z króciutkim wyjaśnieniem, nadesłanem nam wraz z rysunkiem, a jak się okazuje, błędnem. Osoba zamieszkująca tę okolicę przysłała nam obecnie sprostowanie następujące:

Rejów leży w gubernii radomskiej, w powiecie koneckim, a rysunek przedstawia zakład fabryczny (wielki piec). Jest to majątek rządowy, zostający pod zarządem okręgu wschodniego górniczego, który ma główne swe siedlisko we wsi Suchedniowie w gub. kieleckiej i kieleckim powiecie. Dwa boczne budynki mieszczą gisernię, czyli odlewnię żelaza, produkowanego w wielkim piecu, wyobrażonym na rysunku. W pośrodku powyższych dwóch budowli z pośród drzew, okalających zakład fabryczny, widnieje dom zawiodowcy wielkiego pieca; ogrodzenie zaś z desek w słupy murowane okala plac fabryczny, służący za skład węgla, rudy żelaznej i innych materiałów. Ponad całym widokiem panują w dali lasy rządowe.

TREŚĆ: Zabawka elektryczna (z drzew.) — Listy starszej przyjaciółki do młodszej. — Królewicz tulacz, powieść p. M—a (c. d.) — Słonie rozjuszone, (z drzew.) — Kramarz, wiersz (z drzew.) — Zbójcy, komedyjka (dokończenie). — Grześ. — Wyprawa po złote runo, przygody podróżników (c. d.) — Łamigłówa i Sprostowanie. W Dodatku: Jazda, (z drzew.) — Zagodzenie sprawy, wierszyk. — Wzór grzecznej dziewczynki. — Sielanka podwórzowa (dokończenie). — Bezmyślna panienka. — Nauczyciel w kłopotach (c. d.) — Łamigłówa, rozwiązania i Odpowiedzi Redakcyi: Dodatek książkowy: Prześladowanie, powieść z angielskiego naśladowana.

JAZDA.

— Wio, koniki! jazda, do dziadunia jedziemy, wio, wio!
Tak wołają dzieci, siedząc na baryerce drewnianej. Dwaj chłopcy usiedli na przedzie, jak na koniku, Władys powozi, trzyma mocno lejce, żeby koniki nie ponosiły, Michaś pokazuje mu paluszką, w którą stronę ma jechać. Mania i Andzia siedzą inaczéj, bo to są grzeczne dziewczynki, dobrze wychowane, one nigdy nie udają chłopców, wiedzą dobrze, co przystoi paniom, a co chłopcykom.

Mania boi się troszeczkę, żeby koniki nie ponosiły, trzyma się Michasia jedną rączką, a Andzi drugą, ale Andzia ją uspokoja, niema się czego obawiać, woźnica jest wprawny i uważny, nic się złego nie stanie.

— Wio, koniki, jazda!

Może nie wiecie,
Że i na świecie
Częstokroć ludzie
W marnéj ułudzie,
Zamiast swe sprawy
Gładko zagodzić,

Woła na ławy
Sądów się wodzić;
W sporach zaś braci,
Rzecz oczywista,
Swoj zawsze straci,
Obcy skorzysta.

Ludwik Niemojowski.

Wzór grzecznej dziewczynki.

Mała Wandzia była prawdziwie grzeczną dziewczynką, nie myślcie jednak, aby to jéj bardzo łatwo przychodziło; nie, miała ona tak samo, jak inne dzieci, różne pokusy, nieraz sobie pomyślała, że może lepiej nie posłuchać starszych, coś spsocić, i tak dalej; nigdy jednak nie takiego nie zrobiła, bo



Jazda.

ZAGODZENIE SPRAWY.

BAJKA.

Owego czasu,
Dwa chude szczury,
Wylazszy z dziury
Szukać zapasu,
Pośród komory
Znalazły w kątku,
Zaraz z początku,
Sera krąg spory.
Mieć równe działą,
Kłopot nie mały,
I dużo biedy;
Proszą więc tedy
Chytréj małpeczki,
Gdy tak wypadło,
Aby im jadło
W dwie połoweczki
Podzielić. — Brawo!
Małpa odpowie,
I z wielką wprawą,
Przy owém słowie,
Złamie w swéj pięści
Ser jak z igraszki,
Kładąc na ważki
Obiedwie części;

Lecz wnet spostrzeżę,
Małpeczka biedna,
Że z szalek jedna,
W górę podbiega;
Więc z téj, co spadła
Na dół, pomału
Małpa kęs jadła
Chrupie dla działu.
Szalka ulżona
Hyc! w górę z dołu,
Tymczasem ona,
Swego mozołu
Nie szcędząc wcale,
Zmniejsza kawały,
By obie szale
Na równi stały.
Nikt rzec nie może,
Jak się to stało,
Lecz w krótkiej porze
Nie pozostało
Ani troszeczką
Szczurom sereczka.

te złe myśli wypędzone były z główki przez inne, godniejsze, dobrej córeczki:

„Zmartwię tém rodziców” mówiła sobie, i zaraz usilnie starała się być dobrą.

Raz Wandzia poszła z Mamą do jednéj znajoméj pani, bardzo już staréj, która Mamę Wandzi znała, gdy była taką małą, jak teraz Wandzia; bardzo też kochała i Mamę i Wandzię, a ta nazywała tę panią Babunią.

Gdy weszły, Wandzia, pocałowawszy w rączkę Babunię, grzecznie odpowiedziała na kilka zadanych sobie pytań, i ci-chutko usiadła na stołeczku; starsze panie rozmawiały, a dziewczynka nie odzywała się, bo wiedziała, że to bardzo nieładnie przerywać rozmowę, tak samo znów, jak nie odpowiadać starszym. Wtém pani domu odezwała się:

— Wandeczko, wyreż mnie i powiedz Franusi, by przyniosła podwieczorek.

Wandzia zerwała się i szybko pobiegła spełnić rozkaz; wkrótce ukazała się, i otworzyła drzwi Franusi, niosącej tacę.

Ponieważ Babunia miała krówki, raczono się więc doskonałym nabiałem, potem przyszła kolój na konfitury, które Wandzia, jak wszystkie dzieci, bardzo lubiła. Lecz jakież było jéj zdziwienie, gdy zwykle tak gościnna gospodyni domu nie dała jéj konfiturek. Dziewczynka nie śmie się upominać, a tu o niéj nie myślą; na płacz się jéj zbiera, chce szepnąć Mamie na uszko, że jeszcze nie jadła ulubionego przysmaczku, lecz sobie przypomina, jak to brzydko szeptać, obraca się więc do okna, a tu lezki ciekną:

Lecz przychodzi jęj na myśl, jak to zabawnie musi wyglądać taka duża dziewczynka (Wandzia już pięć latek liczyła) płacząca dla tego, że jęj nie dali konfitur... a fe! toż są dzieci daleko biedniejsze, którym wszystkiego brakuje.

Gdy jęj to i wiele innych rzeczy aniołek stróż przypomniał, zawstydziła się bardzo, że przed chwilą była tak dziecinną i przedziutko otarła buzię, aby osuszyć łezki. Jeszcze trochę posiedziała Mama, a potem podniosła się i rzekła:

— Pożegnaj się, Wandziu, z Babcią, już pójdziemy. W drodze Wandzia przyznała się Mamusi, jak to ona miała ochotę na konfiturki, Mama ją pochwaliła za jęj wstrzeźliwość, choć przytęm wytłómaczyła dziewczynce, że nic nadzwyczajnego nie zrobiła, jeżeli się grzecznie zachowała.

Na drugi dzień rano podczas nauki czytania wchodzi służąca Babuni, Franusia, i oddaje Wandzi list i koszyczek, a że mała nasza dziewczynka nie umiała jeszcze dobrze czytać, więc tylko rozdarła kopertę i prosiła Mamy o przeczytanie. Sama zagląda do koszyczka, i znajduje tam bardzo miłą niespodziankę w postaci kilku małych słoików konfitur. List zaś zawierał te słowa:

„Posyłam ci to, drogie dziecko, w nagrodę za przewyciężenie łakomstwa.“

Wandzia zarumieniona z radości kazała pięknie podziękować Babci, i obiecała sobie zawsze starać się przewyciężać w złych skłonnościach.

Ukrainka na Mazowszu.

SELANKA PODWÓRZOWA.

(Dokończenie).

Biedny Wojtuś, niegdyś bardzo odważny chłopczek, uciekł na te słowa co tchu po koguciemu i chciał natychmiast gorącymi łzami zapłakać, aby zostać odklętym, ale próżno tarł oczy i krzywił się, ani jedna łza pójść mu z koguciego oka nie chciała, a tymczasem staruszka odeszła sobie w świat. Z gniewu i ze zgrzyoty, zamiast płakać, Wojtuś tylko krzyczał ciągle po koguciemu w niebogłoty tak okropnie, że wszystkie psy okoliczne zbiegły się do niego i byłyby go rozszarpały na miejscu, gdyby na wrzawę nie przygłopolwał jego dobry znajomy, podwórzowy Kruczek i nie zasłonił go własną powagą i potężnymi zębami przed napaścią.

— Ojo jo joj! Kruczku najdroższy, dziękuję ci! ratuj mię, ratuj! — krzyczał nieszczęśliwy chłopak i rzucił się, chcąc przyjaciela objąć rękami za szyję, jak to mu się nieraz dawniej zdarzało. Ale Kruczek odskoczył w tył, stanął w obronnej pozycji i rzekł groźnie, nie zrozumiawszy jego zamiarów:

— Cóż to sobie myślisz, niewdzięczny kogucie, że wrzeszczysz tak na mnie, jakbym to ja cię rozdzierał i skaczesz mi do oczu? Czuję ja, że należysz do naszego gospodarstwa i dla tego cię bronilem, ale kiedy wrzeszczysz, jak dziki, to idź sobie precz, musisz być chyba na targu kupiony, a ja nie lubię wdawać się z osobami podejrzanymi obyczajów, nie będę zatem wchodził z tobą w bliższe stosunki, dopóki okoliczności nie wyświecą charakteru twojego, przeto wybacz, że cię pożegnają!

To rzekłszy, Kruczek lekko głową skinął na pożegnanie i odszedł.

— O przebrzydły ten surdut koguci, w którym mię Kruczek nie poznaje! — zawołał rozpaczliwie Wojtuś, ale gdy na ten okrzyk znowu psy, patrząc z daleka, przyskoczyły do niego, on wskoczył na płot, z płotu na drzewo wysokie i odechnąwszy ze zmęczenia, dodał wzdychając:

— A jeszcze bardziej przebrzydły ten mój wrzask szkaradny, do którego przyzwyczaiwszy się za chłopięcych czasów, nie mogę odzwyczaić się teraz...

Istotnie z przyzwyczajenia zaklęty kogut krzyczał kogucim głosem tak niepospolicie, jak dawniej chłopięcym, co ściągając na niego chmarę najrozmaitszych nieszczęść. Nie mówiąc już o psach, raz chłopak jeden chciał go zarznąć, i w garnek wpakować, i zjeść, za to, że mu spać w nocy nie

dawał; raz gospodyni jedna już go dusiła, gdy niewczesnym wrzaskiem kury jęj popłoszył; to znowu chłopaki, dawni towarzysze, drażniąc się z wrzaskliwym kogutem, tak go rozgniewali, że sam nie wiedział kiedy, zamrużywszy oczy, aby głośniejsz wrzeszczeć, wpadł w staw... i o mało nie utonął.

Biedak poszarpany, odarty, przypadkiem tylko i duża, jak na koguta, siła, wydostając się z tych nieszczęść, tulał się tak koło rodzinnej chaty długo, nie śmiąc wejść wobec Kruczka, strzegącego wiernie progę. Gdyż pamiętał dobrze kogut zaklęty, iż Kruczek odmówił z nim wszelkich stosunków, dopóki by okoliczności nie wyświeciły charakteru nieznanego. Mimo to jednakże Kruczek zawsze psim węchem, a może i psięm sercem przeczuwał w tym nieznanym kogoś swojego domowego, i dla tego wkrótce ulitował się nad nim. Wyshedłszy więc raz przed chatę, usiadł poważnie, i lekko ogonem piasek zmiatając, rzecze:

— Mości kogucie obcy! uważając z daleka na twoje postępowanie, przekonałem się, że jesteś tylko prostym przybłądą bez wychowania, ale nic gorszego, zatem pozwalam ci wejść na nasze podwórze, abyś skorzystał z towarzyswa i przykładu naszego domowego ptactwa. Pamiętaj tylko poskramiać głos twój wrzaskliwy, gdyż gospodyni nasza nie może takich wrzasków znosić, bo chora jest ze zmartwienia za synkiem Wojtusiem, który zginął z domu tak, że nawet ja go odnaleźć nie mogę.

Na te słowa Kruczka, zaklęty kogut wskoczył coperdziej na podwórko, a potem powoli wsunął się i do chaty rodzinnej, nareszcie, drżąc ze wzruszenia, a dziobek tuląc, to w skrzydełka, to na piersi, aby lada czego nie zakrzyczeć po swojemu. Wszystkich w domu żal mu było, za wszystkimi tęsknił, ale najbardziej pragnął zobaczyć matkę chorą z tęsknoty za nim. Pocichuteńku więc przybliżywszy się do łóżka, spojrział: biedna matka zmieniona nie do poznania leżała, jęcząc z cicha:

— O mój Wojtusi! synku mój! gdzież ty mi się podział? synku mój, synku!

Mówiła to tak żałośnie, i taka ciężka boleść widoczna była w jęj twarzy, że biednemu zaklętemu kogutowi aż serce synowskie pod koguciemu piórkami zadrgało i zapomniałszy się zupełnie, chcąc krzyknąć „Mamusi, ja tu jestem!“ wrzasnął przeraźliwie po koguciemu:

— Kto to to to to to to!

Na taki straszny, niespodziany wrzask tuż koło poduszki chora tylko jęknęła i omdlała. Kto żył w chacie, wszyscy skoczyli ją ratować i bić koguta. Ale kogut nieszczęśliwy wcale tego bicia nie czuł, taki ciężki żal go ścisnął na widok matki omdlałej od jego wrzasku. A był to taki wielki i serdeczny żal, że nawet kogucie oko, które nigdy nie płacze zwilgotniało od tego żalu, i łza jak perła potoczyła się po wychudłym licu nieszczęśliwego zaklętego koguta...

— No, no — odezwał się wtedy wzruszony głos staruszki śpiącej za piecem — niech cię tam, mój chłopcze, już ci przebażę mój własny przestach, stań się chłopcem napowrót, bo spodziewam się, że ci dostatecznie twoja własna wada dokuczyla.

Jeszcze głos staruszki nie przebrzmiał, a już Wojtuś w własnej chłopięcej postaci kłęczał u łóżka matki, całując ję ręce, co ją oczywiście natychmiast z omdlenia ocuciło, a później z czasem i uzdrowiło zupełnie z choroby, spowodowanej tęsknotą za synkiem.

Odtąd Wojtuś stał się tak cichym i grzecznym chłopczkiem, że ludzie nadziwić się tej odmianie nie mogli, a Kruczek znowu wydziwić się nie mógł, zkaż się jego paniczek wziął w chacie, kiedy koło niego przez próg nie przeszedł nikt, oprócz obcego koguta. Takie to przypadki spotykają na świecie wrzaskliwych chłopców! — zakończyła sensem moralnym bajkę swoją Maryś, spoglądając na mnie i na swego braciśzka. I on spojrział, nachmurzył się, westchnął, i oddając swoją trąbę Marysi, rzekł:

— Na masz, schowaj, jak pójdziemy w pole, daleko, gdzie ludzi niema, to mi ja oddasz, a ja sobie zatrabuję; ale powiedz teraz drugą bajkę! I Marysia, dobra siostrzyczka, rozpoczęła opowiadać drugą bajkę.

BEZMYŚLNA PANIENKA.

Mała jedna panienska, imieniem Zosia, lubiła bardzo zrywać kwiatki na łące, gdy szła na przechadzkę z rodzicami, ale ubierawszy dużą wiązkę, gdy ta już zaciężyła w ręczce, oddawała kwiatki piastunce do niesienia, i zrywała dalej inae.

— Niech Zosia sama swoich kwiatków pilnuje, jeżeli je ubiera, bo ja mam dosyć innych rzeczy do dzwigania, koszyczek z podwieczorkiem dla Zosi, płaszczyk Zosi, parasol od przypadku, a gdy jeszcze Zosia daje mi wielkie bukiety, to już sama nie wiem, co i jak trzymać i bardzo łatwo zgubić mogę co potrzebnego. — Tak tłómaczyła się piastunka, nie chcąc nosić dużych wiązek kwiatów, ale Zosia pogłaskała ją po twarzy, mówiąc:

— Nieś kwiatki, nieś jeszcze dzisiaj, moja droga, złota Franusiu — i Franusia musiała nieść. Zdarzało się jednak, że Franusia miała tyle naprawdę przedmiotów do pilnowania, iż bojąc się co zgubić, a nie chcąc sprzeczać się z Zosią, rzuciła cichaczem bukiety po drodze i szła dalej, a Zosia najczęściej spytała zapomniiała o nie. Nieraz, gdy zdarzało się wracać tą samą drogą, którą szło się na przechadzkę, spotykano podeptane kwiaty na drodze. Zosia sama własną nóżką deptała je przez nieuwagę, ani pomyślawszy już o nich. Mamie bardzo się niepodobala taka bezmyślna dziewczynki zabawka, tłómaczyła też jej nieraz, że kwiatki nie po to rosna, aby nieszczone były i deptane przez swawolników, ale Zosia, trzpiot pusty, słuchała wprawdzie z uwagą, lecz zapominała słów Mamy, gdy tylko przebrzmiały. Zakazać zaś takiego z kwiatami obejścia Mama nie chciała, życzyła bowiem, aby Zosia zrozumiała sama, iż źle czyni.

Razu pewnego zdarzyło się, że wracając z dalekiej takiej przechadzki, pomęczyli się wszyscy i postanowiono odpocząć. Usiadło tedy całe towarzystwo, jak było można, jedni na obaloném drzewie, inni na kamieniach wysokich, lub na murawie. Zosia, która nigdy w życiu nie czuła zmęczenia nóżek, oparła się tylko na kolanach Mamy siedzącej i za cały odpoczynek chrupała ciasteczko, tupiąc sobie o ziemię obcasem nowiuteńkich bucików. Wtém, spojrzysz mama, aż tu o dwa kroki przed Zosią leży jej bukiet z polnych kwiatów, ubierany i porzucony przed dwiema gdezinami a teraz już zupełnie zdeptany przez licznych przechodniów. Mama sięgnęła parasolką i przyciągnęła do siebie biedną tę wiązkę wiośnianej dziatwy, popatrzyła na nią, wyjęła z pośrodku mały, biały niegdyś, a teraz zbrukany i zgnieciony dzwonek pachnący, i rzekła:

— Zosiu, każdy z kwiatków ma swoją osobną powieść, bo każdy z nich żył, posłuchaj, a opowiem ci życie tego jednego zdeptanego dzwoneczka, bo nie starczy nam czasu na więcej. — Zosia, przepadając za powieściami, nadstawiła uszek, a Mama tak mówiła:

— Ten dzwoneczek młodziutki żył sobie szczęśliwy wśród rodziny swojej, z takich samych jak on kwiatków złożonej. Co rano kapali się wszyscy w srebrnej rosie, potem huścili, igrając z wietrzykiem, swawolili z ptaszkami, częstowali pszczołki swoją słodyczą, a potem w złocistych słońca promieniach przez cały dzień słuchali pieśni różnych, jakie cała łąka śpiewała i oni sami śpiewali je razem z łąką, i z ptaszkami, i z wietrzykiem, a to z radości i ze szczęścia, bo bardzo dobrze było im żyć w promieniach słonecznych. Gdy słońce zachodziło, dzwoneczek ten wraz z innymi stulał oczki i spał smaczno po całodziennęj zabawie, kołysany przez zieloną gałązkę, Mamę swoją. A wtém... mała jedna ludzka rączka zerwała go, i po chwilce cisnęła na ziemię, gdzie go twarde stopy zdeptały. Gdyby mógł być choć od razu żyć przestać, toby mniej cierpiał może, ale wyobraź sobie, że on biedny już blisko dwie godziny leży w kurzu, bez kropli rosy i czuje co chwila nowy ból, gdy jest deptany i pocichutku płacząc pyta każdego: Któż to mię zerwał? cóżem zawinił, że cierpię...

— A to co? — zapytała Mama, przerywając nagle opowiadanie swoje, gdy Zosia wybuchnęła płaczem, jak małe

dziecko. Zosia, płacząc, nie odpowiedziała nic, i Mama nie pytała więcej, popatrzywszy tylko na dziewczynkę. Odpocząwszy, wrócono do domu, a Zosia, idąc przez miasto, z trudnością ży wstrzymywała.

Następnęj niedzieli Zosia na przechadzce biegła jak zawsze po łące, ale nie zrywała kwiatków już wcale, a gdy zobaczyła kępkę białych dzwoneczków, zatrzymała się przy nich, przypatrzyła się im i długo, długo zadumana stała, jakby słuchając czegoś, aż pokiwawszy główką, poszła zwolna dalej w swoją drogę...

Pewno białe dzwoneczki dokończyły powieści, opowiadanej przez Mamę i przerwanej płaczem Zosi.

NAUCZYCIEL W KŁOPOTACH.

CZYLI

PIĘĆDZIESIĄT DNI WAKACYJ,

napisał Michał Krzemień.

(Dalszy ciąg).

— A ty mi jeszcze w oczy wchodzisz? precz mi z oczu! — krzyknął, ujrawszy Mussę. Ale Mussa upadł mu do nóg i prosił już nie o żadną pomoc, tylko o pożyczenie kwarty do mierzenia mąki, aby wiedział, czy się na kupnie nie oszukał. Ali-Baba zdziwił się, zkądby Mussa tak prędko mąkę zdobył, i kazał sługom podać sobie kwartę, a gdy wszyscy odwrócili się jakoś, on prędko pomazał smoją wziętą z mążnicy od swej kolasy spód kwarty, i dopiero pożyczyl ją bratu.

Potém, gdy Ali-Baba palił fajkę i jadal słodycze po arabsku, siedząc na poduszkach, Mussa tymczasem, skryty w krzaku, mierzył kwartą swoje dukaty, a przemierzyszy (wszystko to tak jednak, że widzowie z boku na to patrzyli) odniósł bratu kwartę z podziękowaniem. Ali-Baba natychmiast spojrzal pod spód kwarty, a tam przylepiło się do smoły kilka dukatów:

— Hej, słudzy! — krzyknął — związać tego niegodziwca, bo on przed chwilą nic nie miał, a teraz dukaty kwartą mierzy, tedy musiały kogoś zrabować.

Zrobił się krzyk i hałas, bo słudzy wiązali Mussę, a on się nie dawał, zaklinając się, że nie zrabował nikogo.

— Jak powiesz, zkąd masz dukaty, to cię każę rozwiązać — powiedział Ali-Baba, i po wielu wzdraganiach prosił narzeczcie Mussa, aby słudzy odeszli i dopiero całą prawdę wyznał Ali-Babie, i dodał, że po to jedynie mierzył dukaty, aby wiedzieć, ile wzięł rozbójnikom, gdyż zrobił ślub, że gdy się temi dukatami mienia dorobi, to tyleż ich odda dla ubogich. Bo choć nie krzywdził nikogo, zabierając rozbójnikom to, co oni zrabowali, to przecież zawsze wzięł nie swoje, a to jest grzech i wstyd. I płakał, tak mówiąc. Ali-Baba na to ramionami tylko ruszył, aż spytał:

— I wieleż wzięłeś?

— Dwie kwarty.

— Czemuż nie więcej? czemu nie wszystko?

— A mnie to na co? niech ja tylko się tém czego dorobię, to i to oddam ubogim.

— O, ty osłe! — zawołał chciwiec — héj słudzy! odprowadźcie tego osła do jego domu, a ja tu sobie spocznę w pięknej okolicy; tylko odprowadźcie do samęj jego chaty, żeby mi się tu na oczy więcej nie pokazywał.

Tak rozkazał Ali-Baba po to, aby sługi od siebie oddalić; a gdy wszyscy poszli i znikli, a konie z kolasą stały na boku, przywiązane do drzewa, wtedy Ali-Baba zeskoczył z poduszki, głośno zapowiedział, że cały skarb ogromny teraz sobie zabierze, i kazawszy jaskini otworzyć się tak, jak mu Mussa powiadał, zaczął dzwigać dukaty w połach od białego burnusa i wsypawać je do swej kolasy. Ale dukaty oczywiście były ciężkie, Ali-Baba jęczał a dzwigał, dzwigał a jęczał coraz okrutniej, po niejakiem czasie już ledwo się włókl, ciągnąc za sobą pęki dukatów, aż raptem, jęknąwszy okropnie, że się po-

dźwignął, padł jak długi na ziemię. A wtem ze strasznym szczeniem wypadł z głębi lasu Ben-Hau-hap i rzucił się na Ali-Babę.

— Bravo! bravo! oto genialny aktor! — wołali widzowie, klaszcząc z wielkim zapałem, bo choć Obal skoczył do Stefana po to, aby go ratować, widząc, że upada i jęczy, przecież to wyglądało tak zupełnie, jakby Ben-Hau-hap chciał Ali-Babę zagryźć. Za Ben-Hau-hapem wypadli z lasu dwaj straszni rozbójnicy z wielkimi brodami i z hersztem swoim na czele, uprowadzili prędko w las konie z kolasą, wpakowawszy w nią na kupę poduszki, kobierzec, Ali-Babę i rozsypane w około niego dukaty, kazali zamknąć się jaskini i wszystko znikło w jednej chwili, a łączka pozostała spokojna i pusta.

— Oto wracamy, spełniwszy twe rozkazy, wielki Ali-Babo! — zawołali niezadługo dwaj słudzy, którzy odprowadzali Musę, (a ci słudzy nie mieli bród z konopi, bo Wacio i Leon odejmowali prędko brody i rzucali wielkie arabskie burnusy, gdy ze zbójców stawali się służącymi Ali-Baby). Rozglądali się słudzy zdumieni, że niema na łące ani ich pana, ani pojazdu i koni, gdy wtem głos zabrzmiał:

— Wasz pan podźwignął się mojem złotem i umarł!

— Allah! Allah! to jest ten straszny rozbójnik Aga-Bumba! — krzyknęli dwaj słudzy i uciekli, krzycząc: — oho! już po naszym panu!

A na brzegu gęstwiny stał Aga-Bumba z Ben-Hau-hapem u boku i wywijając pałką, tak wołał za uciekającymi:

— Tak! już po waszym panu! ale nie ja go zabiłem, tylko jego własna chciwość! wiedzcie o tém!

— Hau ham hap! — wrzasnął za uciekającymi Ben-Hau-hap i podskoczył w górę wesoło, gdy pan jego pięknym ukłosem przed publicznością dawał znać, że widowisko skończone. Grom oklasków nastąpił po ostatnim wykrzykniku Ben-Hau-hapa.

— Oto genialny aktor! chociaż wszyscy inni są także utalentowani! — wołano i póty klaskali widzowie, tupali, i wywoływali aktorów po imieniu aż wszyscy musieli wyjść z lasu i ukłonić się publiczności, przyczem Ben-Hau-hap z miną pełną skromności kłaniał się także, wdzięcznie machając ogonem. Brawa i oklaski tak grzmiały, aż psy i koguty zaczęły odpowiadać na nie ze wsi całej. Pani Janicka następnie uściskała aktorów, zapewniając ich, iż za odegranie tak wspaniałej tragedii przebacza im z serca wszystkie rabunki, jakie popełnili, jako rozbójnicy, a nawet ową wyborną marchew, której jęj tak żał było zrazu.

Potem ochocza wieczerza we dworze zakończyła ten dzień pełen wzruszeń tragicznych, a na ogólne żądanie, aktorzy musieli przyrzec zachwyconej publiczności, że powtórzą widowisko przed końcem wakacyj.

(D. c. n.)

Zadanie konikowe (Kruszynka).

re	cza	zło
dzie	*	go
pka	Na	ju

Odczytać znane przysłowie.

Łamigłówka kryształowa.

(Od Słowika dla Orła i Jastrzębia).

1. Litera.
2. Rodzaj poezyi.
3. Bryły kamienne.
4.
5. Przedmiot w budownictwie używany.
6. Przedmiot używany w chorobie.

Rząd środkowy i środkowe litery utworzą nazwisko poety polskiego.

ROZWIĄZANIA DO N-ru 8-go.

Zadania konikowe:

Wedle stawu grobla.

Łamigłówki w kwadraciku:

K	O	S
O	S	A
S	A	S

Skrzynka do listów.

Konwalia z pod Lublina domyśla się, żeśmy ją wzięli za chłopczyka i zmienia pseudonym, nie objaśnia jednakże, pod jakim piśmywała poprzednio, radzibyśmy bardzo dowiedzieć się o tém, ażeby tę pomyłkę zrozumieć. Sosenska, która zwróciła na siebie uwagę Konwalijki, jest Litwinką, ma lat 10, nazywa się Helenka. Łamigłówka nie jest według prawideł ułożona i nie możemy jęj wydrukować.

Maryan Ł. nadesłał kilka łamigłówek niezłych, ale długo musi czekać na ich zamieszczenie, bo mamy ogromne zapasy dawniejszych.

Kalinie. Nie spodziewaliśmy się, aby zadania nasze konkursowe były za trudne dla panienek trzynastoletnich, nieraz przecież i młodsze nadsyłały dobre odpowiedzi; ale zwrócimy na to uwagę. Co do łamigłówek, nie wiemy doprawdy, kiedy się na nią miejsce znajdzie, takie mnóstwo nam ze wszystkich stron nadsyłają.

Jaskółce z nad Muchawca brakujący N-r Pisma odesłano.

Czyżyka prosimy, aby nie układał tak dużo łamigłówek, bo nie możemy ich teraz zamieścić. Rozwiązania są wszystkie trafne.

Synogarliczka nadesłała trafne i ładnie napisane rozwiązania naszych zagadek, szkoda, że ani słoweczka do tego nie dodała.

Konik Polny musiał już odebrać odpowiedź na liścik poprzedni. Nieraz już tłómaczyliśmy kochanym korespondentom, że odpowiedzi nie mogą być drukowane zaraz po odebraniu listu. Łamigłówka zegarek nie jest dobrze ułożona; najpierw wyrazy powinny mieć jednakową liczbę liter, a nie sylab, potem nie pisze się *santymetr* tylko *centymetr*.

Srocza litewska nie potrzebuje nas upewniać, że nie jest podobna do owęj niepoczciwej Sroczi z poematu Adama Pługa. Sądząc z jęj liścików, domyślamy się, że to musi być ptaszyna miła i roztropna, cieszymy się też bardzo, że mając lat 15 z taką przyjemnością nasze Pismo czytuje.

Turkawce z nad Bystrzycy. Omylić się każdy może, zdarza się to nietylko młodzieży, ale i starszym, uczonym ludziom. Tu jednak przyczyną omyłki nie była z pewnością niewiadomość, tylko nieuwaga. Dobra ztąd bardzo nauka, że nad każdą rzeczą trzeba się zastanowić, nim się o niej zdanie wypowie. Obietnica kochanej Turkaweczki, że „Wieczory” czytywać będzie aż do siwego włosa, jest dla nas bardzo pochlebna i miła. Srocza z nad Bystrzycy nazywa się Terenia i mieszka w Lublinie.